

**CZARNA
OWCA**

MAŁGORZATA BORKOWSKA OSB

**CZARNA
OWCA**



TYNIEC
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW

Projekt okładki:
Jacek Zelek

Imprimi potest: Opactwo Benedyktynów
L.dz. 40/2018, Tyniec, dnia 14.02.2018
† o. Szymon Hiżycki OSB, opat tyniecki

Wydanie drugie: Kraków 2018

ISBN 978-83-7354-766-7

© Copyright by Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
ul. Benedyktyńska 37, 30-398 Kraków
tel. +48 (12) 688-52-90, tel./fax: +48 (12) 688-52-95
e-mail: wydawnictwo@tyniec.com.pl
zamowienia@tyniec.com.pl
www.tyniec.com.pl

Druk i oprawa:
Tyniec Wydawnictwo Benedyktynów
druk@tyniec.com.pl

Spis treści

1. Szkoła	7
2. Postulantka u „panien łacińskich”	18
3. Lata formacji	30
4. Idealizm w akcji	49
5. Coraz więcej obowiązków	61
6. Ksieni	86
7. Katastrofa	107
8. Nadzieja, która zawiodła	124
9. Subiaco: uliczka do nikąd	146
10. Zagubiona w tłumie	158
11. „Szukam pracy”	175
12. Iride, Elodia, Melania, Elena, Cunegonda... .	192
13. „Mało, ale dobre”	207
14. Kobieta krzepkiej wiary	223
15. Ardentemente italiana	243
16. Echa z pierwszej ojczyzny	258
17. Przygoda z Sardynią	269
18. Ostatnie lata	288
19. Rada bym w proch się zamienić	303
Bibliografia	313

1. Szkoła

Moralna strona wychowania nic prawie do żądania nie pozostawiała... Nie bywałyśmy na balach, nie stroiłyśmy się... i nic nie uczyło nas próżności, przesady, pychy i kokieterii... Oprócz dziecinnie egzaltowanych przyjaźni pomiędzy koleżankami i przywiązań do wybranych zakonnic, zamykających się w granicach uwielbień i ubóstwień idealnych, nie pozostawał między nami cień erotyzmu i romansowości... W bardzo znacznej większości byłyśmy córkami rodzin majątnych: więc w marzeniach uwalniałyśmy włościan, rozdawałyśmy nasze majątki oraz walczyłyśmy zapamiętałe o wolność ojczyzny. Były i takie, które marzyły o zabawach, strojach, a nawet o wychodzeniu za mąż, ale była to mniejszość.

Tak wspomina atmosferę swoich szkolnych lat Orzeszkowa, uczennica warszawskich sakramentek. Było to na parę lat przed powstaniem styczniowym. Jeżeli w tej blisko stuosobowej gromadzie pańienek prawie już na wydaniu, w przeważającej większości były te, co reformowały

świat, a w mniejszości (nieco pogardliwie przez pisarkę potraktowanej) takie, które marzyły o normalnym i naturalnym powołaniu kobiety, o założeniu rodziny – to widać, że atmosfera tam była przepojona tym, co ta sama pisarka każe czarnym charakterom w swoich powieściach określać jako „wściekły idealizm”. Dodajmy, że był nie tylko „wściekły”, ale i bardzo trwały. Mimo wszystkich komplikacji swego życia prywatnego Orzeszkowa zostanie temu idealizmowi wierna do śmierci.

Zdaje się, że ten obraz szkoły zakonnej z drugiej połowy XIX wieku można by bez żadnych zmian odnieść do wielu takich szkół zarówno w Królestwie, jak i w Galicji. W Królestwie zresztą były to już ich ostatnie lata: po powstaniu styczniowym rząd carski zamknie wszystkie szkoły klasztorne, nie z czym innym walcząc, jak właśnie z ich wściekłym idealizmem patriotycznym i społecznym. Pozostaną szkoły galicyjskie. Nie było ich w początku stulecia wiele. Poza Krakowem, który pod rządy austriackie dostał się nieco później, skasowano w Galicji już w roku 1782 wszystkie klasztory, które nie prowadziły szkół lub szpitali, a także kilka takich, które je prowadziły, żeby nie było za dużo. Tym, którym pozwolono istnieć, postawiono warunek: wszystkie siły włożyć w dzieło. Życie kontemplacyjne było odtąd zakazane. Ten zapał reformatorski austriackich hofra-

tów osłabł nieco po śmierci Józefa II, i po zajęciu Krakowa pozwolono w nim istnieć nadal paru wspólnotom ściśle klauzurowym; ogromna jednak większość klasztorów żeńskich, niezależnie od reguły, zajmowała się nauczaniem. Ich liczba rosła bezustannie, przede wszystkim dzięki powstawaniu nowych zgromadzeń, zakładających głównie szkoły ludowe czyli podstawowe; ale także szkoły zwane wydziałowymi, dające wykształcenie średnie, mnożyły się bądź przez zakładanie szkół nowych, bądź przez przedłużanie nauki w już istniejących, osiągając tuż przed I wojną światową liczbę trzydziestu dwóch. Wiele z nich nie miało praw publicznych: uczennice rekrutowały się tam spośród panien dość zamożnych, żeby nie potrzebować dyplomu z pieczętą, a za to program nauki można było częściowo zmodyfikować w stosunku do szkół państwowych. Lwowskim sercankom w roku 1848 zamknięto przejściowo szkołę za nadmiar patriotyzmu polskiego. Niepokalanki wzięły sobie za główne zadanie wykształcić i przepoić tym patriotyzmem wpływową warstwę społeczeństwa. Także niektóre przynajmniej spośród szkół prywatnych, prowadzonych przez osoby świeckie, wychowywały w podobnym duchu. Były to więc rozsadniki idealizmu, w których duża część uczennic szukała wiedzy nie po to, żeby zdobyć zarobek, ale żeby reformować świat.

Świat zaś (a w nim polskie społeczeństwo) niewątpliwie wciąż potrzebował reformy. Była w nim nadal niewola polityczna, była tragiczna sytuacja społeczna, nawet po „wyzwoleniu włościan” niewiele lepsza niż przed nim – i wreszcie była moralna ludzka nędza, nieuchronnie obecna we wszystkich stanach. Jeżeli wierzyć powieściopisarzom z przełomu XIX i XX wieku, główną plagą naszego ówczesnego świata była obmowa: nie takie sobie zwykle niemądre plotki, ale obmowa gorzka, gryząca, płynąca z zawiści, rzucająca się łapczywie na wszelkie dostrzeżone dobro, by je błotem zamazać i udowodnić, że wcale dobrem nie było. Tej pladze mało kto umiał czy nawet próbował zaradzić, gdyż mało kto zdawał sobie sprawę, że walczy się z nią nie przez strofowanie za nią innych, ale przez trzymanie własnego języka za zębami. Zdawałoby się, że duchowieństwo, formowane przecież w seminariach i nowicjatach do pracy nad sobą, powinno było świecić wzorem mądrej powściągliwości w mowie: ale i jemu to świecenie szło trudno.

Kto się jednak wybierał od dziecka reformować świat, i to reformować go ofiarnie własnym kosztem, mógł mieć (jak w każdej epoce) radośną pewność, że mu pracy nigdy nie zabraknie. Dziewczynka, urodzona 3 maja 1858 roku w Stanisławowie i tegoż dnia ochrzczona w kościele parafialnym Niepokalanego Poczęcia pod imiona-

mi Janiny Matyldy, wchodziła więc w świat pod wspaniałymi auspicjami.

Rodzice nazywali się Rudolf Gabriel i Agnieszka z Rawskich. Włoscy biografowie Błogosławionej robią z nich szlachtę, ktoś nawet mówi o arystokracji, ktoś wie o tytule barona... ale jest pewne, że nazwisko Gabriel nie należy do polskich nazwisk szlacheckich. Rzymskie wychowanki Matki dopatrywały się herbów w znakach na jej chusteczkach, poza tym imponował im jej spokojny sposób bycia, takt i dobre wychowanie; ktoś jeszcze w dodatku przypomniiał sobie, że kiedyś mówiła, jak bardzo od dzieciństwa lubi konie i opowiadała, jak karmiła cukrem konie swego ojca... Co do tych herbów, gdyby je nawet miała, musiałaby się ich pozbyć w nowicjacie i na pewno by ich nie używała nigdy więcej; więc raczej sądzić można, że były to po prostu skomplikowane wedle ówczesnego stylu zdobnictwa monogramy. Co do spokoju, Matka Kolumba była jak na polską skalę porównania dość żywa, ale wybuchowym Włoszkom mogła i tak wydawać się posągowo spokojna, zwłaszcza że wówczas już tyle udręki musiała przed otoczeniem ukrywać. Nienaganne manieiry mogły być częściowo wyniesione z domu, jeżeli był to (jak wszystko zdaje się wskazywać) dom należący do nowej podówczas warstwy społecznej, nazwanej później inteligencją; ale w dużej

mierze mogły być także śladem szkoły zakonnej, w której wtedy na takie sprawy zwracano wielką uwagę. Pozostają więc już tylko konie, ale to za mało, by zrobić z kogoś barona.

Rudolf Gabriel mógł być zresztą pochodzenia austriackiego, ale w takim razie byłby już (jak wielu innych dookoła) Niemcem dokładnie spolszczonym, może w drugim lub jeszcze dalszym pokoleniu. Z czegokolwiek żył i w jakimkolwiek celu trzymał konie, był dość zamożny, by rodzinę nie tylko utrzymać, ale i łożyć na dobra kulturalne. Janina Matylda uczyła się muzyki, i to chyba starannie i długo (a więc nie bez ćwiczeń na własnym instrumencie), skoro grała później bardzo ładnie podobno, ze szczególną preferencją dla Szopena. Był to zresztą zaledwie jeden z jej licznych talentów, tylko wybierać: malarstwo, muzyka, sztuka słowa... Ale najgłębiej siedziała w niej pasja nauczycielska.

Nad światem jej dzieciństwa, złożonym z rodziców i jednego braciszka, królowali zgodnie Bóg i mama. Od mamy pochodziły niewątpliwie pierwsze nauki – o wszystkim: o Bogu i o literach, jak się trzyma widelec i jak się dąży do zbawienia. Mama była najważniejsza na świecie, ale jednocześnie uczyła, że Bóg jest najważniejszy: nie było w tym żadnej sprzeczności, Bóg i mama zgadzali się we wszystkim. Janinie Matyldzie został

szczęśliwie oszczędzony szok, jakim dla tylu powołanych jest sprzeciw najbliższych wobec ich powołania. Miała osiem lat, kiedy postanowiła zostać zakonnica: rodzice mieli wszelkie prawo nie traktować od razu tych planów poważnie, ale też z drugiej strony nie okazali najmniejszego sprzeciwu.

W tym samym roku (1866) państwo Gabriel przenieśli się do Lwowa. Jeszcze przez dwa lata mała uczyła się w domu i dopiero kiedy miała lat dziesięć, poszła do szkoły – od razu, jak się zdaje, do klasy czwartej. Zapisano ją na początek do tzw. Szkoły Elżbiety: była to szkoła państwowa, nosząca imię najjaśniejszej habsburskiej cesarzowej, a właściwie dwie szkoły pod tym samym imieniem: męska i żeńska. Wybór był może podyktowany bliskością miejsca: jak zobaczymy, Janina Matylda miała swe pięć lat nauki spędzić w aż czterech różnych szkołach. Z samego początku tego okresu znane są dwa drobne epizody; zapewne później w Rzymie bawiła czasem swoje wychowanki anegdotami z własnego dzieciństwa, jak zwykle matka, i te akurat pozostały w ich pamięci. Dziesięcioletnia przyszła mniszka najwyraźniej miała całkiem normalny nadmiar energii ruchowej do wyładowania i wyładowywała go w całkiem normalny sposób, mianowicie skacząc po ławkach; kiedyś jednak spadła i skaleczyła się boleśnie. Za-

miast pędzić do mamy po pociechę, ukryła to skaleczenie, żeby mamy nie zmartwić. Już wtedy, i nawet wobec własnej matki, kochać znaczyło dla niej przede wszystkim: opiekować się.

A drugie wspomnienie to straszliwy dylemat, przed którym mała stanęła prawdopodobnie mniej więcej w tym samym czasie. Uczennice rekrutowały się oczywiście ze wszystkich grup narodowych i religijnych, reprezentowanych we Lwowie, były więc tam katoliczki rzymskie, unitki ruskie i może także ormiańskie, mogła być mała grupka ewangeliczek, była na pewno spora grupa Żydówek. Janinę Matyldę nauczono, że Żydzi kiedyś dawno nie rozpoznali Chrystusa, ale że jeszcze mogą Go poznać, jeżeli się im wytłumaczy. Wobec tego zabiera się do tłumaczenia, z całą powagą, tej spośród żydowskich koleżanek, z którą przyjaźni się najbardziej. Źle trafiła: koleżanka nie miała żadnej ochoty na konwersję, a chcąc prawdopodobnie uciąć temat, replikowała:

– Wiesz, ja to cię bardzo lubię, ale moi rodzice, gdyby się dowiedzieli, że mnie nawracasz, to by cię zabili.

Groźba była oczywiście całkiem nierealna, ale właśnie w takie rzeczy ludzie gotowi są wierzyć. Janina Matylda uwierzyła natychmiast, ale ze skutkiem wprost przeciwnym do zamierzonego: nie przestraszyła się, tylko uznała, że ma szansę

na prawdziwe męczeństwo. I tu właśnie był dylemat. Bo z jednej strony męczeństwo podoba się Bogu i prowadzi prosto do nieba; z drugiej jednak strony, co powie mama? To już mogłoby dla niej być za dużo! Po raz pierwszy i chyba ostatni, przez moment, straszny moment, Bóg i mama najwyraźniej się nie zgadzali. Potem refleksja: to, co by zmartwiło mamę, nie może podobać się Bogu. Trzeba więc działalności apostolskiej na ten raz zaniechać. Miała o kilka lat więcej, niż ich miała Teresa z Avili, uciekając z domu w poszukiwaniu męczeństwa; prawdopodobnie dlatego zdołała dostrzec więcej niż jeden aspekt sprawy.

Następny rok szkolny spędziła u benedyktynek „łacińskich”. Była to jedna z trzech najstarszych we Lwowie szkół zakonnych. Wyzwolona już od roku 1848 z obowiązku uczenia po niemiecku, szkoła ta była właśnie w trakcie dalszych przemian. Rok przedtem ksieni Benedykta Rzączyńska otworzyła w niej piątą klasę, a następnie szóstą; dwie potrzebne do tego sale uzyskano kosztem dotychczasowego internatu, decydując się na przyjmowanie większego niż dotąd procentu uczennic dochodzących, a więc z miasta. Piąta klasa miała odtąd przerabiać bardzo starannie literaturę polską od początków do Oświecenia włącznie, szósta równie starannie literaturę okresu romantyzmu. Oczywiście towarzyszyło temu także pogłębianie

znajomości innych przedmiotów. Wyraźne było dążenie tak zakonnej zwierzchniczki, jak i księdza dyrektora, do zwiększania udziału samych zakonnicek w pracy nauczycielskiej, do zmniejszania zakresu narzucanej niemczyzny (nieco później wprowadzono także język francuski i oba te języki, jako obce, postanowiono wykładać dopiero od trzeciej klasy) oraz do poszerzania zakresu wiedzy chrześcijańskiej: wprowadzono na przykład historię Kościoła w miejsce dawnej „etyki ogólnej”. Aby tak decydować o profilu nauki, uzyskano status szkoły prywatnej.

Janina Matylda znalazła się więc we wrześniu 1869 roku wśród uczennic nowootwartej klasy piątej i w zasięgu oddziaływania idealizmu szkoły prywatnej, i to w dodatku zakonnej. Niewątpliwie było jej to bliższe niż atmosfera szkoły państwowej. Niemniej kolejne dwa lata szkolne, od jesieni 1870 do wiosny 1872 roku, spędziła w innej szkole zakonnej, u benedyktynek ormianek. Edukacja była tam najprawdopodobniej identyczna: można więc przypuszczać, że rodzice chcieli (skoro miała nadal uparcie pragnęła zostać zakonniceką i nauczycielką), żeby poznała kilka takich zakładów i któryś z nich sobie wybrała.

Cenzurki miała tak zwane „nudne”: nic tam nie było oprócz stopni bardzo dobrych. Jesienią 1872, a więc mając lat 14, przeszła znowu do szko-

ły państwowej, mianowicie do seminarium nauczycielskiego: nie chodziło na razie o dyplom, uprawniający do nauczania w szkołach podstawowych, tylko o naukę metody. W lipcu 1873 roku, mając lat 15, uznała, że może się już zgłosić do klasztoru. Powie później: „Za zabawami światowymi nie tęsknię, bo ich w ogóle nie poznałam”. Orzeszkowa byłaby zbudowana: kolejna idealistka ruszała do akcji.

2. Postulantka u „panien łacińskich”

Tak więc 25 lipca 1873 roku Janina Matylda została przyjęta do postulatu. Klasztor, do którego weszła, znajdował się tuż za linią dawnych murów obronnych Lwowa, na zboczu Wysokiego Zamku; nazywano go „Małą Florencją” i „renesansowym klejnotem Lwowa”, gdyż zbudowany w początku XVII wieku przez włoskiego architekta (Pawła Rzymianina), odznaczał się wyjątkową harmonią proporcji i czystością stylu. Posiadał nadto na zapleczu od strony zamku duży ogród, przedzielony tylko uliczką Klasztorną od dalszych ogrodów, okrywających górę, można by się więc spodziewać wyjątkowo zdrowego powietrza. W rzeczywistości lokalizacja, choć malownicza, była fatalna. Czy to z racji wód podskórnych, czy z racji układu zbocza (każda większa ulewa powodowała tam istne potoki spływające z zamku na klasztor) budynki były wilgotne, a gruźlica endemiczna. Nie tylko w skali miasta, ale i w skali krajowej ten klasztor bił wszelkie możliwe rekordy w śmiertelności nowicjuszek i młodych zakonnic. Przez 27 lat poby-

tu Janiny Matyldy w klasztorze zdarzy się takich zgonów aż osiem.

Benedyktynki osiadły we Lwowie w roku 1595. Założycielka i zarazem pierwsza ksieni, Katarzyna Saporowska, zasłynęła z życia wyjątkowo surowego i umartwionego, nawiązującego częściowo do starych wzorów wschodnich; po pewnych jednak wahaniach przyłączyła swoją wspólnotę do polskiej tzw. kongregacji chełmińskiej. Kongregacja ta grupowała około dwudziestu klasztorów benedyktynek, obsadzonych wprost lub pośrednio przez mniszki zreformowanego w końcu XVI wieku klasztoru chełmińskiego, i zgodnie z ideałami łacińskimi swej epoki ustawiała życie zakonne raczej na cnotach wewnętrznych (pokora, posłuszeństwo, ścisłe życie wspólne) niż na zewnętrznej surowości. Zdaje się, że oba te style życia współistniały w dziejach zgromadzenia, może z okresową przewagą jednego lub drugiego zależnie od osobowości i duchowości kolejnych ksień. Był to w każdym razie chronologicznie pierwszy klasztor klauzurowy we Lwowie, duży, dobrze uposażony i posiadający w czasach przedrozbiorowych zgromadzenie liczne jak na polską miarę, bo zwykle od czterdziestu do pięćdziesięciu zakonnic. Szczególnego prestiżu nabył w czasach rządów Doroty Daniłowiczówny, rodzonej ciotki Jana Sobieskiego. Nieco później (1690) uformował się

we Lwowie klasztor benedyktynek rytu ormiańskiego, więc dla odróżnienia od Ormianek zaczęto starą wspólnotę nazywać „pannami łacińskimi”. Aż do końca XVIII wieku były też panny łacińskie dość arystokratycznym towarzystwem i przynajmniej do pierwszego chóru nie przyjmowano tam kandydatek bez herbu. Przyjmowano natomiast dziewczęta na naukę i wychowanie, jak w całej kongregacji.

Odwieczny, tradycyjny ład bytowania klasztoru zburzyły krótko po pierwszym rozbiorze austriackie nowe porządki w Kościele, zwane „reformą józefińską”. Szkoła, zjawisko dotychczas w życiu wspólnoty marginalne, okazała się teraz celem i warunkiem jej istnienia. Majątki wzięto pod przymusowy zarząd państwowy, napływ kandydatek poddano kontroli (żeby nie więcej, niż koniecznie do nauczania potrzeba) i nakazano przynajmniej częściowo rekrutować je spośród ludności niemieckiej, gdyż uczyć należało po niemiecku; zresztą gubernium chciało, jak się zdaje, w ogóle klasztor zniemczyć, jako instytucję wpływową i mogącą reszcie społeczeństwa służyć za wzór. Władze nie przebierały w środkach. Kiedy w roku 1812 objęła rządy ksieni Abundancja Różycka, której gubernium szczególnie nie lubiło, ruszyła cała machina szykan i trudności. Nawet prawnu kazano działać wstecz, zmuszając klasztor do

zwrotu otrzymanych poprzednio od państwa odszkodowań za odebrane włości; a był to tylko jeden z wielu manewrów, które do reszty pogrążyły i tak już wówczas niebogata kasę klasztorną. Następnie winę za zaciągnięte długi przypisano ksieni, cały majątek klasztoru dano w ręce wyznaczonego przez gubernium świeckiego administratora, do klasztoru zaś wysłano specjalną komisję, która rządy w nim zleciła czteroosobowej radzie. Arcybiskup Pischtek posłusznie radę tę zatwierdził, wykluczając z niej, jak sam wyraźnie mówi, zakonnice cieszące się w zgromadzeniu autorytetem. Rej w owej narzuconej radzie wodziła młoda Niemka, s. Józefa Kuhn, wysuwana przez gubernium bardzo zdecydowanie przeciw ksieni... Zamieszanie trwało wiele lat i nie ma sensu opowiadać tutaj ich dokładnej historii. W roku 1833 drogą zafałszowanej elekcji s. Kuhn została po Różyckiej ksienią, ale po siedmiu latach usunął ją sam arcybiskup. Czasy zmieniały się, nacisk gubernialny słabł, już wkrótce Wiosna Ludów miała przynieść zdecydowany przełom w tej dziedzinie życia. Niemniej w małej, odosobnionej w jakiejś mierze od świata wspólnocie skutki tych wydarzeń miały trwać jeszcze bardzo długo.

Życie zakonne nikogo nie uświęca automatycznie. Każdy wchodzi do wspólnoty z bagażem tak zalet, jak i wad. Systematyczna praca nad sobą

to tylko połowa formacji; druga zaś, i może nawet jeszcze ważniejsza połowa, to nauka, jak znosić i zaakceptować siebie i innych ludzi takimi, jakimi są, nauka cierpliwości, wyrozumiałości, miłości wychodzącej naprzeciw. Kąkol musi współistnieć aż do żniwa z pszenicą: jedno i drugie w każdym człowieku. Aż za łatwo jest jednak ulec pokusie wyrywania kąkolu, i to przede wszystkim cudzego, od zaraz. Jeżeli do tej tendencji, i tak mniej lub więcej dającej znać o sobie w każdej wspólnoty, dodać jeszcze konflikt sztucznie wprowadzany i podsycany od zewnątrz, otrzymuje się chorobę, która ma wszelkie szanse zasłużyć sobie na określenie chronicznej. Nie można oczywiście sprowadzać wszystkiego do konfliktów narodowościowych: byłoby to wielkie uproszczenie. Nieprawda, że wszystkie Polki były dobrymi zakonnice, a wszystkie Niemki rozsadzały wspólnotę. Zresztą nawet trudno by w wielu wypadkach określić, kto był jakiej narodowości. Nazwisko o niczym nie świadczy, trzeba starannie przejrzeć akta dotyczące kandydatek, żeby stwierdzić, że na przykład s. Leonarda Sperl mówiła w domu po niemiecku, a s. Klara Wepner po polsku; s. Kazimiera Kluss jest lwowianką z rodziny dawno spolszczonej, s. Lucyna Krauze pomorską szlachcianką, a s. Mechtylda Drozdowska akurat właśnie Niemką, z trudem uczącą się polskich słów. W dodatku

było sporo rodzin mieszanych polsko-niemieckich i polsko-ruskich; o wielu zaś siostrach brak danych, więc pełnej listy zestawić się nie da. I nie ma po co. Ów sztucznie wywołany konflikt narodowościowy posłużył jako silny katalizator: wyolbrzymił trudności obecne i tak w każdej ludzkiej wspólnocie, ale ich nie stworzył. Służył także obu ewentualnym stronom jako patriotyczne usprawiedliwienie wszelkich antypatii i przejawów niecierpliwości, tym samym przedłużając je. Równowagę raz zachwianą trudno przywrócić, a nawet po przywróceniu bardzo łatwo rozchwiać ją znowu. Dobrym sprawdzianem takiego rozchwiania są zawsze w klasztorze elekcje: i rzeczywiście od śmierci ksieni Różyckiej elekcje u „panien łacińskich” były jedna po drugiej trudne i niezgodne. Rząd austriacki dodatkowo komplikował tę sprawę, wymagając przy każdym wyborach olbrzymiej tzw. taksy elekcyjnej i wtrącając się nadal w sprawy personalne. Po ustąpieniu ksieni Rzączyńskiej, która w roku 1869 zrzekła się urzędu po trzech zaledwie latach sprawowania go, zgromadzenie w większości chciało wybrać Nepomucenę Krechowiecką, niegdyś w latach 1855–1866 tymczasową przełożoną, ale ta była politycznie skompromitowana przez swoje poprzednie działanie na rzecz powstańców za kordonem (1864), o co nawet wytoczono jej śledztwo. Arcybiskup przerwał

elekcję (wprowadzona w roku 1867 autonomia galicyjska miała, jak widać, wyraźne granice dostępnych swobód) i zlecił rządu s. Aleksandrze Hatal, która dotąd była przeoryszą czyli zastępczynią ksieni. Tytuł przeoryszy miała zachować i nadal; skoro nie była kanonicznie obrana, nie mogła zostać pełnoprawną ksienią. Nadawało to jej rządowi charakter tymczasowy i emocjonalnie (choć nie prawnie) ograniczało jej autorytet. Taki stan rzeczy zastała wstępując Janina Matylda.

Zgromadzenie, do którego weszła, liczyło 18 profesek, w tym dwie ciężko chore, nie biorące już udziału w życiu wspólnym, i trzy bardzo stare. Pierwotna zasada rządu austriackiego, która głosiła, że każda zakonnica chórowa musi być nauczycielką, okazała się w praktyce niemożliwa do stosowania, gdyż po pierwsze nie było dość kandydatek z nauczycielskim przygotowaniem, nawet jeśli je faworyzowano; po drugie, normalne życie klasztoru wymaga skierowania części sióstr do prac domowych, nie mówiąc już o zarządzie. Ostatecznie uтарыł się podział pracy, który zatrudniał w szkole mniej więcej połowę wspólnoty, z tym, że siostry uczyły tylko niektórych przedmiotów, głównie języków, muzyki i robót, a od czasów m. Krehowieckiej – także literatury polskiej. Całej reszty przedmiotów uczyli zwykle nauczyciele świeccy, profesorowie lwowskich gim-

nazjów. Starano się oczywiście zwiększać w miarę możliwości zakres udziału zakonnic w nauczaniu, ale tu bardzo często interweniowała gruźlica, zabierając świeżo wykształconą i rokującą wielkie nadzieje nauczycielkę. Niemniej kluczem selekcji kandydatek były w miarę możliwości właśnie talenty i ewentualna przydatność dla szkoły. Dawno już natomiast nie było nim pochodzenie. Zresztą arystokratki jakoś się i tak nie zgłaszały, toteż XIX-wieczny skład zgromadzenia „panien łacińskich” był już zdecydowanie plebejski. Więcej tam było córek oficjalistów niż córek dziedziców; przeważały córki drobnych urzędników, rzemieślników, nauczycieli. Jeśli tu i ówdzie zdarzał się jakiś ojciec ze szlacheckim nazwiskiem, to prawie zawsze wysadzony już z siodła i służący jako ekonom w cudzym majątku albo jako sekretarz w C. K. sądzie. Jeśli zdarzał się posag, to raczej u córki lwowskiego rzeźnika niż u skoligowanej z arystokracją sieroty. Herbów tam nie ceniono, ale w to miejsce bardzo ceniono zawartość głowy.

Był to więc, jak na owe czasy, zespół intelektualistek, a zapewne i indywidualistek po trosze. Dużo w nim pisano: przekłady z autorów duchowych niemieckich i francuskich, kroniki na podstawie starych archiwaliów. Kształt miłości Boga, właściwy zakonowi św. Benedykta, podlegał w tych właśnie czasach w całej Europie kolej-

nej reinterpretacji, a raczej kolejnemu „powrotowi do źródeł”. Nie tu miejsce rozważać, na ile trafnie owe źródła dobrano: ze stuletniej perspektywy i po stu latach dalszych badań historycznych sądzimy dzisiaj, że „powracano” wówczas do stanu, który w rzeczywistości nigdy nie istniał. Niemniej powracano gorliwie, na Zachodzie powstawały dziesiątki nowych opactw, a klasztory w Beuron i w Solesmes stały na czele rosnących szybko kongregacji. Mniszki lwowskie na swoim wschodnim cyplu benedyktyńskiej Europy miały kontakty z resztą zakonu i chciały się włączyć w jego odnowę. Zewnętrznym wyrazem tej tendencji było właśnie w roku 1873 dodanie do ich stroju szkaplerza, którego poprzednio zgodnie z ustawami kongregacji chełmińskiej nie nosiły, a którego przyjęcie wydawało się teraz krokiem w stronę pierwotnej czystości reguły. Wkrótce miała ruszyć cała lawina drobnych reform, dotyczących zwłaszcza śpiewu i ceremonii zakonnych. Chodziło o większą wierność powołaniu, a przy okazji o tożsamość zakonu, który nie pozwolił się przerobić (jak to proponowało gubernium w roku 1792) na luźny zespół świeckich nauczycielek. Oczywiście to była tylko jedna strona życia i wierności; drugą była praca nad dalszym scalaniem wspólnoty. Matka Aleksandra była do tej pracy dobrze wybrana, ale też stała przed ciężkim zadaniem. Jeszcze w sto

lat po jej czasach ktoś, komentując tamte problemy, powie: „No cóż, Weber był Niemiec...” – jakby to cokolwiek tłumaczyło. I prawdę mówiąc, z papierów ówczesnych widać, że tej jedności chciało całe zgromadzenie, a jednocześnie mało kto umiał chcieć drobnych, codziennych środków do niej prowadzących. Łatwiej jest dowodzić swojej racji niż wysłuchać cudzej; i łatwiej było położyć na kimś krzyżyk: To Niemka! To Polka! To Rusinka! – niż spróbować się porozumieć. Przez najbliższe lata ten proces porozumienia miał się jednak wyraźnie rozwijać: szło ku lepszemu, rana powoli się zablizniała.

Otóż rok 1873 miał się okazać dla dziejów benedyktynek rokiem wydarzeń obfitujących w skutki, chociaż te skutki ukazały się dopiero o wiele później. W tym roku, jak już wiemy, zaczęła się (od owych szkaplerzy) odnowa życia benedyktyńskiego i w tym roku wstąpiła do postulatu jedyna jak dotąd Błogosławiona tego klasztoru. Nadto w tym samym roku przyjął we Lwowie święcenia kapłańskie kleryk Józef Weber z Fürstenthalu na Bukowinie, późniejszy sufragan lwowski, kurator i spowiednik benedyktynek. I wreszcie około tego roku – bo dokładnej daty nie znamy – nieznaną kobietą urodziła i podrzuciła do jakiegoś sierocińca chłopca, któremu tam nadano imię Paweł i nazwisko „Podrucki” – zapewne właśnie przez alu-

zję do podrzucenia. W ten sposób zjawily się we Lwowie mniej więcej jednocześnie wszystkie osoby dramatu, który miał w roku 1900 rozedrzeć na nowo ową prawie już zabliznioną ranę.

Na razie jednak na żaden dramat się nie zanośli. Piętnastoletnia postulanka przekracza próg klauzury w postulanckiej euforii. Nie jest sama: po siedmioletniej przerwie wstępują równocześnie cztery inne kandydatki, widocznie więc udało się przekonać władze o konieczności odmłodzenia nieco klasztoru i o tym, jaka wielka byłaby szkoda zmarnować tak wspaniałe talenty pedagogiczne. Tekla Dębska nie jest już młoda: po pięćdziesiątce, długoletnia guwernantka i nauczycielka języków. Marianna Kauffman, lwowianka, ma lat 23; mając 16 wstąpiła do sióstr Opatrzności Bożej, ale musiała wrócić do domu, by zająć się osieroconym młodszym rodzeństwem. Teraz zdecydowała się na benedyktyнки: biegła hafciarka z zacięciem pedagogicznym. Izabela Chmurakówna ma lat 19 i kurs krawiecki. No i jest jeszcze Magdalena Buraczyńska, analfabetka, z zawodu służąca, która wstępuje na konwerskę: lat 24.

Prawie wszystkie zostają też natychmiast (a przynajmniej od początku roku szkolnego) zatrudnione wedle swoich zdolności, żeby od razu wiedziały, jak ma wyglądać ich życie zakonne, o ile się na nie zdecydują: Dębska uczy więc francuskiego,

Gabrielówna niemieckiego i rysunków, Kauffmannówna robót ręcznych. Buraczyńską skierowano do pomocy przy gospodarstwie. Jedyne Chmurakównę posłano do klasztornej szkoły w roli uczennicy, znajdując widać jakieś konieczne do usunięcia braki w edukacji. Na tym, na nauce klasztornej porządku i pierwszych kontaktach z tradycją monastyczną upływa rok postulatu. Mistrzynią była s. Karolina Pawłowska, o której niestety nic szczególnego nie wiadomo. Postulat zaś trwał cały rok, bo wszelkie ewenementy czy obrzędy takie jak obłóczyny lub śluby, należało odprawiać podczas wakacji, żeby nie przeszkadzały życiu szkoły. Janina Matylda zdąży więc przed rozpoczęciem nowicjatu skończyć lat szesnaście.